

Kot

W tym domu kot miał się nigdy nie wydarzyć. Ale poszło szybciej niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. Czarny, skulony dachowiec, prosto ze stodoły, wypłoszony. W siatce na zakupy, w kratkę, z wielkimi uszami (siatka, nie kot). Przyniesiony i wysypany ojcu na kolana. Spotkanie trzymiesięcznej kotki i pana domu, który – umówmy się – akurat zwierząt nie przewidywał, stanowiło sytuację egzystencjalną pełną tego rodzaju napięcia, które nie kończy się szczęśliwie. A jednak. Kot został. I miał się dobrze, pominąwszy dwukrotny upadek z dziewiątego piętra. Szczególnie drugi raz – wraz z potrójnym złamaniem kocich kończyn – złamał nasze naturalne przekonanie o nadnaturalnych zdolnościach zwierzęcia.

Te kocie nieszczęścia miały jednak poza bolesnym kilka innych wymiarów. Z jednej strony – uczyniły go lokalnym barometrem, z innej – obudziły w nas wszystkich poczucie jakiejś absolutnej za niego odpowiedzialności, z jeszcze innej – zacieśniły międzygatunkowe więzi w naszym domu. Wyglądało, jakby kot doskonale sobie zdawał sprawę, ile wysiłku kosztowało doprowadzenie go do względnej formy. Może słyszał pytanie weterynarza, c z y operujemy i składamy kości? Może pamięta nasze oburzenie? W każdym razie kot po przejściach, z racji wmontowanych przez chirurga śrub zwany robo-kotem, był odtąd w kontaktach z oknem niezwykle ostrożny, a w kontaktach z nami – wierny jak pies.

Kilkanaście lat pod jednym dachem. Kawał życia, spory fragment historii rodziny. I niech mi żaden nie mówi, że to t y l k o zwierzę.

Najsilniejsza więź zrodziła się między kotem i ojcem. Chciałoby się napisać, że ojciec miał go najpełniej z nas wszystkich. Ale kto mieszka z kotem, doskonale wie: ewentualnie, o ile o jakimkolwiek *mieniu* można mówić, kot miał ojca. Tak ten układ wyglądał i na tym chyba w ogóle cała kocia filozofia i zarazem wielkość polega – nie można go m i e ć. Zresztą to z naszego przywiązania do tego czasownika wynikają pewnie krzywdzące sądy i przesady, jakoby koty były wredne, przywijały się do miejsc zamiast do ludzi itd. A gdyby tak, zamiast wyciągać pochopne wnioski z tej postawy, zechcieć się dokładnie i uczciwie jej przyjrzeć, a może nawet spróbować przenieść na grunt bycia z ludźmi, wtedy prawdopodobnie przestalibyśmy m i e ć dzieci i p o s i a d a ć mężów, a zaczęli b y ć z nimi. Może już sama tylko podmiana słów, sam ten semantyczny przewrót pozwoliłby przesunąć nieco akcenty w naszych historiach domowych? Może taki zabieg uruchomiłby ciąg mentalnych zdarzeń wiodących ostatecznie do jakiejś rewolucji w relacjach? Kto wie? Są języki, w których w ogóle nie ma czasownika m i e ć. Można więc być z ludźmi, z rzeczami, można żyć obok nich, przy nich – ale nie mieć. Całkiem prawdopodobnym jest, że użytkownicy tych języków lepiej rozumieją się ze kotami. A może i z ludźmi? Może też łatwiej godzą się z utratą – nie przestają *posiadać*, tylko przestają *być obok*?

Ale ad kot: wżył się w dom, był z nami, oczywiście na warunkach, jakie sam ustalał, ergo: 1. nie aportował 2. nie merdał ogonem 3. nie wybaczał nam drobnych zaniedbań natychmiast, bezwarunkowo i za przekąskę 4. nie zjadał wszystkiego, co mu serwowaliśmy (a tak dokładniej: wybrzydzał i grymasił przy większości lodówkowego repertuaru). Kiedy chciał się przytulić, przychodził, kiedy potrzebował samotności, znikał. Nie narzucał nikomu swojej obecności, ale w zamian oczekiwał szacunku wobec własnego harmonogramu odosobnień, niezależnie, czy wynikających z potrzeby kontemplacji czy wygrzania się na słońcu. Z czasem nauczył nas nie mieć kota, a mieszkać z kotem.

Tata wstawał codziennie punktualnie 5:30. Ledwo przytomny, jeszcze ziewający kot czekał już przy łapciach, następnie człapał za panem do łazienki, towarzyszył mu przy

Małgorzata Szadkowska-Borys

goleniu, czekał cierpliwie, aż ten wyjdzie spod prysznic, ubierze się. Potem udawali się do kuchni – w sprawie śniadania. To był rytuał, nikt go nie zakłócał.

Raz się zdarzyło, że kot go obudził. Myśleliśmy, że coś się stało, nigdy dotąd nie zachował się tak nietaktownie. Okazało się, że była dokładnie 5:30. Budzik nie zadzwonił.

Tata wracał codziennie o tej samej porze z pracy. Jeśli raz kiedyś się spóźnił, kot czekał w drzwiach. Z awanturą.

Często wracamy do naszej domowej opowieści wigilijnej – o tym, jak któregoś roku kot miał przeraźliwą czkawkę po zjedzeniu łańcucha z choinki, o tym, jak następnie próbował łowić karpie w wannie, a przegnany z łazienki rozniósł po całym domu mąkę i znaleźliśmy go *po śladach* pod łóżkiem; idealnie białego i idealnie zdziwionego, że tak szybko namierzono jego sprytną przeciecz kryjówkę.

Kiedy ojca zabrało pogotowie, nikt z nas nie wiedział, jak się sprawy potoczą. Pierwszego dnia kot przestał jeść, kolejnego pić. Nie pozwolił się nikomu dotknąć. Leżał przy łapciach. Po kilku dniach okazało się, że tata będzie do końca życia sparaliżowany od szyi w dół i że nie będzie mówił. Kiedy przywieźliśmy go do domu, kota już nie było.

Małgorzata Szadkowska-Borys
szadkowska.borys@gmail.com

sierpień 2011

Gazeta Literacka Migotania, 3/4(32/33)/2011, str.2